№ 37. Rok XXXIII.



PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.
Warszawa, dnia 31 Sierpnia (12 Września) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał czwarty roku bieżącego. Warunki prenumeraty pozostają te same, a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie	*rs. 1 kop. 25.*
półrocznie	*rs. 2 kop. 50.*
rocznie	*rs. 5.*

Adres: Emil Skiwski, redaktor i wydawca „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Nazajutrz po tej rozmowie Konrad miał już patent doktorski. Obrona rozprawy poszła jaknajgładziej. Marczewski, Schwartz i paru innych kolegów przybiegli pierwsi z powinszowaniami.

Widok Kaźka nasunął dopiero Konradowi na myśl panią Trzcińską i jej córkę.

— Ach! — pomyślał — tom się spisał!

Dwa tygodnie właśnie upływało od ostatniego listu i on, wciągu tego czasu, wypełnionego najpierw grozą i smutkiem, potem zaś radosnym szczebiotem uszczęśliwionej Józi, na chwilę nawet nie pomyślał ani o nieboszczyku stryju, ani o czekających nań pieniądzach, ani o tych obu kobietach, od których, bądźcobądź, doznał tylu dowodów gorącej życzliwości. Ani razu!

Jak te dni minęły, jak mogły minąć bez jednej choćby z tych myśli, próżno teraz o to zapytywał swej pamięci.

— No, no! — szepnął jeszcze, trąc czoło.

Marczewski tymczasem powtarzał swoje powinszowania.

— Nie wierzysz, jak mnie to cieszy?—mówił.— Chociaż — dodał zaraz, — chociaż już dla nas tem prędzej teraz przepadniesz! Skończyły się złote czasy naszej przyjaźni!...

Łzy miał przytem w oczach, on, co się zawsze z łez Antka wyśmiewał, nazywając go w podobnych okazyach płaksą, bębnem, „trzyletnim Tosiem."

A Schwartz teraz właśnie nie płakał, owszem, śmiał się serdecznie, sławiąc wśród obecnych kolegów zalety Konrada. Ale bo też nie wiedział o niczem. Marczewski, mimowolnie dopuszczony do tajemnicy, milczał uparcie i ani słówkiem nie zdradził nic przed towarzyszem. Cieszyło go to, że on tylko cierpi on, i ktoś jeszcze, nikt więcej. Nie byłby też tajemnicy tej swojej wyjawił za żadne skarby.

Konrad wyczytał troskę z jego twarzy i domyślił się jej powodu.

— Słuchaj-no, Kaźku—rzekł, odciągając go nabok. — Cóż *tam* słychać... u tych pań?... Widzisz, ja tam jeszcze nie byłem od ostatniego naszego spotkania... Czasu mi brakło...

— Wiem żeś nie był...

— Cóż więc tam się dzieje?

— Tam?... Tam smutek...

Konrad zniecierpliwił się. Powściągliwość Marczewskiego w tych odpowiedziach wydawała mu się zwykłą tylko pozą.

— Smutek?... Cóż u licha! — zawołał. — Rozprosz-że go więc swemi konceptami! Wygnaj za dziesiątą granicę!... Potrafisz przecie, wiem! Jedynyś do tego!

Marczewskiemu płomień przeleciał przez twarz i odbił się, jak w zwierciedle, w źrenicach.

— Ach, gdybym to dziś jeszcze potrafił, Konradzie! Gdybym potrafił...

Tyle było w tym wykrzykniku goryczy i nadziei zarazem, że Konrad innem zupełnie okiem spojrzał na młodego przyjaciela.

— Cóż znowu? Potrafisz, chciej tylko! — rzekł, siląc się na swobodę, podczas gdy w głębi serca uczuwał pewien niepokój.

Postanowił też za jakąbądź cenę dowiedzieć się o wszystkiem, więc znów po chwili spytał:

— Czekają mię jeszcze te panie?... Wspominają?

Widząc zaś, że Marczewski i teraz jeszcze zwleka z odpowiedzią, jakby słów do niej dobierał, schwycił go za rękę i, ściskając ją gorąco, dodał:

— Słuchaj, Kaźku! Jesteś jedynym człowiekiem, z którym nie umiałbym mówić ogródkami. Próbowałem tego w tej chwili, napróżno... Domyślam się, że masz żal jakiś do mnie. Widzę nawet, że żal to szczery, głębszy i że to, co ja z twej strony brałem za mrzonkę i zabawkę, nabiera cech istotnej prawdy... Masz żal, przyznaj?

Marczewski chwilę jeszcze milczał, wreszcie wybuchnął:

— Szczerość za szczerość. Mam! Wiem i czuję, że nie było w tem cienia nawet winy z twej strony, ale widzę, że można czasem zawinić nawet bezwiednie i mimowoli. Tak ty zrobiłeś... Podeptałeś bezlitośnie szczęście, za które ja byłbym tak wiele oddał!

Konrad odetchnął ciężko.

— Więc o to ci idzie? Wiec ty pannę Trzcińską kochasz, a upierając się przy swoich domysłach, cierpisz na tem, biedaku?

I uradowany, chciał nawet roześmiać się głośno, ale śmiech ten na czas jeszcze powstrzymały dalsze słowa młodego chłopca:

— Domysłach? Ależ ja mam już pewność, pewność zupełną! Z tem tu przyszedłem, szukając umyślnie spotkania z tobą... Słuchaj, ja nie przesadzam, mówiąc, że tam smutek i żałoba w całym domu od wczoraj...

Na czoło Konrada wystąpiła ponownie chmura.

— Przezemnie?... Wiedzą już że się żenię? — szepnął.

Kaziek skinął głową.

— Tak — rzekł. — Żenisz się... wyszła już jedna zapowiedź... ślub wasz za dni dziesięć... 4-go Listopada.. wszystko to już tam wiedzą... Ale nie ja byłem krukiem, co tę wieść tam przyniósł. Owszem, ja do końca kłamałem jak mogłem, składając wszystko na tę dzisiejszą twoję promocyą... na... na tysiączne przyczyny, które cię przez ten czas zdala od nich trzymały... Nie miałem sił prawdy oznajmić. Ja wiedziałem, że to musi ból wielki jej sprawić... domyślałem się tego, choćtyś mię prawie wyśmiał w pierwszej chwili... Czy ja ją kocham, nie wiem, ale zdaje mi się, że tylko kochając można tak wszystko przeczuć... przewidzieć... jak ja przewidziałem...

— Cóż się stało? Mów! — szepnął Konrad, blednąc.

Marczewskiemu dolna warga poczęła drgać, jakby od płaczu.

— Chciała się... wczoraj... otruć! — wyjąkał.

Konrad zachwiał się na nogach i załamał ręce.

— Na Boga! Ale com ja temu winien? Com winien? Boże, Boże!

Marczewski, któremu łzy więziły głos w gardle, wyciągnął tylko rękę do uścisku, jakby dla upewnienia, że sam uznaje słuszność tego zapytania.

— Uratowano ją — mówił dalej po chwili. — Niema już nawet podobno żadnego niebezpieczeństwa... Miałem ci o tem nie mówić... Chciałem zataić ten wypadek przed tobą, choćby tylko przez dzień dzisiejszy... Ale żądałeś prawdy... Zresztą...

Urwał, widząc iż długa konferencya jego naubocz z Konradem zwróciła powszechną uwagę. Cała grupa kolegów, ze Schwartzem na czele, ruszyła z miejsca i poczęła się ku nim zbliżać.

— Wyjdźmy! — szepnął Konrad, — nie mógłbym teraz dwóch słów do nikogo przemówić.

Wysunęli się na korytarz i, niepostrzeżeni przez nikogo, weszli do jednego z laboratoryów, pustego właśnie o tej porze.

Kaziek rzucił się zgnębiony na krzesło, Dąbrowski oparł się o stół. Pytania rwały mu się na usta, musiał jednak przez chwilę czekać, póki zajęty sprzątaniem woźny nie wysunął się do drugiego pokoju.

— Jakżeś się o tem dowiedział? — zapytał wreszcie. — Zlituj się, powiedz! Chcę wszystko wiedzieć...

— I musisz—przerwał Marczewski—bo to i ciebie dotyczy...

Poczem, jakby chciał pozbyć się jakiegoś ciężaru, począł szybko opowiadać, że poszedł tam i wczoraj, aby obie panie wyciągnąć gdzie na spacer... Miał właśnie dla Konrada wymówkę w owej dzisiejszej uroczystości, szedł więc śmiało, zadowolony, uszczęśliwiony... Już z miny starego służącego poznał, że tam coś zajść musiało. Otworzywszy mu drzwi szybko, służący ten cofnął się, jakby nie jego się spodziewał... „Panienka nam nagle zasłabła” — tem go przywitał. Zauważył też, że w pokojach, których drzwi stały otworem, odbywa się jakaś bieganina. Cały dom był widocznie na nogach. Co było robić? Musiał się cofnąć.

— Ale co mię to kosztowało! — mówił dalej po chwili.—Od bramy nie miałem też sił odejść. I dobrzem zrobił... Zebrana w sieni służba wiedziała już o wypadku i komentowała go na swój sposób, zwłaszcza gdy niebawem zjawił się stróż, wracający z apteki z jakiemś lekarstwem... Jaka to była dla mnie męka!... Po kwadransie wybiegł i lekarz, którym był nasz wspólny znajomy, Mielęcki, mieszkający, wiesz, w sąsiedniej kamienicy. Sprowadzono widocznie najbliższego...

Odetchnął, jakby mu to jeszcze teraz mękę sprawiało. Wzrok Konrada wisiał na jego wargach.

— Przystąpiłem wprost do niego, pytając o chorą — mówił dalej Kaziek. — Zdziwił się, że go tak obcesowo zaczepiam, ale widząc że znam te panie, bo mię kilkakroć z niemi spotykał, odparł: „To otrucie... Otrucie morfiną... podobno przez pomyłkę... chociaż...” Nie chciał nic więcej powiedzieć, ale i to mi wystarczyło... Dodał tylko: „Nie bójcie się... odchoruje, ale będzie żyła...” Z tem mię pożegnał.

— Może to istotnie była pomyłka? — szepnął Konrad.

Marczewski uśmiechnął się boleśnie.

— Tak i ja sobie mówiłem — rzekł. — Ale dziś właśnie, rankiem, dostałem ten oto bilecik, który do reszty wszystko rozjaśnia.

Konrad wyciągnął rękę po małą kopertę, Kaziek atoli rzekł jeszcze przedtem:

— Nie będzie dla ciebie miły, ale...

Bilecik, który teraz Konrad szybko począł przebiegać oczyma, był tej treści:

„Szanowny panie!

Córka mi trochę słaba, myślę więc wyjechać z nią na czas jakiś do krewnych. Ponieważ zaś wiem, że i pan Dąbrowski ma za dni kilka opuścić Warszawę i może mu już nie starczy czasu na pożegnanie z nami, a ja dłużej nie mogłabym trzymać u siebie jego depozytu, prosiłabym więc pana, abyś zajął się łaskawie pośrednictwem w tym względzie. Wydam to za prostym kwitem w pańskie ręce. Proszę w tym celu przyjść do mnie dzisiaj, Będę o 12-ej czekała. Liczę na to.

Życzliwa

Kamilla T.”

Konrad spuścił głowę na piersi, zgnębiony. Nie chciano tam już więcej jego odwiedzin—to było widocznem z tego bileciku.

— I byłeś?—spytał.

Marczewski w odpowiedzi wyciągnął z bocznej kieszeni owiniętą w ceratę sporą paczkę banknotów.

— Masz kwit napisać. Nic więcej. Przelicz!— rzekł, posuwając paczkę po stole.

Konrad odwrócił od niej wzrok z niechęcią i począł chodzić w milczeniu po obszernej sali laboratoryum.

Widocznem było, że toczy z sobą jakąś walkę, która odbijała się też na jego twarzy.

Marczewski nie przerywał ani jednem słowem. Bawił się właśnie ruchomem kółkiem od jednej z podręcznych machin naukowych.

— Więc to prawda, prawda! — wybiegło z ust Konrada.

I znów przez chwilę słychać było tylko jego kroki i turkot obracanego przez Kaźka koła.

— Biedna, szalona głowa! — westchnął znów po niejakim czasie.

Służący laboratoryum wracał i zatrzymując się na środku, zapytał:

— Panowie nie będą pracowali?

— Nie! — pośpieszył z odpowiedzią Marczewski. — Ale zostaniemy tu jeszcze czas jakiś. Nie mówcie nikomu że tu jesteśmy, choćby nas koledzy szukali.

— Dobrze — odparł służący i poprosił ich tylko, aby, odchodząc, drzwi zamknęli i klucz mu odnieśli.

Po jego odejściu, Konrad, jakby przezwyciężył ostatnie skrupuły, szepnął jeszcze:

— No, niech mię Bóg skarze i sądzi, jeślim tu zawinił!

Potem, podchodząc do przyjaciela, spytał słabym głosem:

— Czy matka bardzo to wszystko odczuła? Opowiedz mi co o tej swojej wizycie dzisiejszej. Nie każ się badać i ciągnąć słowa po słowie, bo to tortury!

Marczewskiemu żal się zrobiło biedaka, począł więc, chodząc obok niego po sali, opowiadać. że ta wizyta utwierdziła go tylko w jego hypotezach. Pani Kamilla, przyjmując go, była już zupełnie spokojna. Naturalnie, mówiła także tylko o pomyłce z flaszeczkami. Pokazywała mu je nawet. Mania musi leżeć i pewnie dłużej poleży, powiedziała mu jednak przez drzwi: „Dzień dobry.”

Uśmiechnął się jeszcze teraz, jakby samo wspomnienie tego pozdrowienia napawało go radością.

— Najmniej mówiliśmy o tobie—ciągnął dalej,— ale jakby umyślnie, choć delikatnie, dano mi do poznania, że wiedzą wszystko, nawet datę i godzinę ślubu. Pani Kamilla wymieniła mi nawet źródło owej fatalnej wieści, a tem — zgadnij! —jest Zdziś, który dowiedział się o wszystkiem od Antka, zaprzyjaźnionego, jak wiesz, z Zawadzkim.

— Antek! I to Antek!—rzekł Konrad.

— Cóż chcesz, on nie wiedział o niczem. Myślał że ich to bardzo ucieszy... Domyślam się, jak

wiadomość ta musiała zastać biedną dziewczynę nieprzygotowaną, w czem znów moja wina, bo ja ją ciągle łudziłem co do ciebie... Jaką to burzę żalu musiało wywołać w jej sercu! Boże!

Konrad, uspokojony już cokolwiek, zbliżył się do stolika w celu napisania kwitu.

— Tak mię te pieniądze cieszyły — rzekł— a dziś?... Ha! ja już każdą chwilę szczęścia muszę czemś zawsze okupić... Trudno.

Machnął ręką.

— Naprzód do celu — szepnął znów, jakby do siebie — to było zawsze mojem hasłem... Ale nie chciałbym iść po trumnach, nie!

Rozwinął paczkę, przyjrzał się banknotom, nie licząc, i potrząsnął w powietrzu trzema sporemi zwitkami.

— To zdrowie i życie mojej biednej żony!—rzekł z mocą.

Kaziek przed wyjściem rzucił mu się na szyję ze łzami w oczach.

Długa chwila upłynęła im w tym uścisku, który ich znowu godził i wiązał nanowo.

. . . .

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA
działalności kobiecej.

Przerwa kilkotygodniowa w *Kronikach działalności kobiecej* dała mi poznać raz jeszcze, lepiej niż wszelkie dowodzenia, całą żywotność tego działu. Najoporniejszych też sprawie niewieściej, najbardziej do niej uprzedzonych, chciałbym przywieść przed swoje biurko i zdumieć mnogością nagromadzonego materyału. Tak, panowie; podczas gdy nas czasy ogórkowe wygnały z Warszawy, świat, niepowstrzymany w biegu upałami, szedł dalej swoim trybem, a z kartek, notujących zarówno pojedyncze fakta, jak wyniki zbiorowych usiłowań niewieścich, urósł — stos cały. Aby ów stos nie wydał się nikomu przesadą, przypominamy, iż dział ten pozwala nam sięgać poza granice własnego kraju, że zatem próbuje on objąć okiem, najpowierzchowniej bodajby, w najgłówniejszych choćby zarysach, pracę *połowy* cywilizowanej ludzkości. Wprawdzie połowa ta budzi się zaledwie do życia, niemniej jednak zapał jej, energia i osiągnięte już rezultaty mogą w dumę nieraz wbić kobiety.

Zanim jednak do kartek swoich sięgniemy, pierwszeństwo należy się sprawom domowym.

Niestety, ubóstwo ich nie odpowiada bynajmniej hojnemu żniwu z za granicy. Wszystko, co się tu robi, jest, dzięki brakowi inicyatywy i działalności zbiorowej, pojedynczą tylko próbą, pojedynczem usiłowaniem. Śmielsze więc jednostki wsród obcych zazwyczaj szukają laurów i powodzenia. Po głośnem też zwycięztwie Anny Bilińskiej, która, na międzynarodowej wystawie sztuki w Berlinie, za obrazy swe złoty dostała medal, druga z naszych rodaczek, p. Dobrowska z Robaczewa, niemniejszy odniosła tryumf. Oto, jak doniosła depesza, broniła ona rozprawy na stopień doktorki i otrzymała dyplom, z niebywałem w Paryżu powodzeniem.

Dzięki przykładom tym, mnożącym się coraz częściej, ostatni zjazd lekarzy i przyrodników w Krakowie upamiętnił obrady swe rezolucyą, dopuszczającą kobiety na kursa filozoficzne w tamtejszym uniwersytecie. Nie jest to może wydział najbardziej dla nich pożądany; umysł niewieści bowiem najmniej ma zdolności do ścisłych, abstrakcyjnych i spekulatywnych rozumowań, wykształcenie zaś filozoficzne, ze stanowiska praktycznego, z trudnością u nas chleb zapewnia. Należy się jednak wdzięczność szczera przedstawicielom zjazdu za przełamanie rutyny, za przekonania humanitarne i postępowe, jakich postanowieniem tem dowiedli.

Więcej podobnych przykładów, a kobiety nasze nie byłyby zniewolone szukać u obcych chleba, za który jednak muszą się dobrze odpłacać, skoro taka panna Zakrzewska, doktorka medycyny, wypełnia chlubnie obowiązki naczelnej lekarki i dyrektorki w *New-England Hospital for women and children* w Bostonie. Pani Marya Makowska, przewodniczka oddziału dziewcząt w lwowskim zakładzie ociemniałych, otrzymuje równocześnie zaszczytny krzyż zasługi. A dwa te przykłady dowodzą najlepiej, jak bardzo rozumna praca kobiet inteligentnych potrzebna jest społeczeństwu, nietylko w szerokim zakresie wychowania, lecz w stosunkach jego z niedolą, chorobą i sroższem nad nie kalectwem.

Łzy niedoli też chciała osłodzić Aleksandra hr. Branicka, która w r. 1838-ym jeszcze zapisała znaczną sumę na cel szerzenia dobrobytu wśród włościan, zamieszkałych w jej majątkach.

Gdy fundusz ten wzrósł obecnie do sumy 523,000 rs., otworzono, z procentów już, bank włościański w Białocerkwi, z kapitałem zakładowym 90,869 rs. Dalsze zaś odsetki od sumy 523,000 rs. mają być zużyte na tworzenie i utrzymanie szkół w wioskach, należących do hrabiów Branickich.

Od magnackiej jednak a szlachetnej ofiary i od pionierek nauki przejdźmy do pracownic na polach mniej wybitnych, lecz równie pożytecznych.

Udało mi się, przed paru tygodniami, spotkać wypadkiem jednę z najstarszych pracownic w biurze telegraficznem warszawskiem. Panna X. stanowi dla sprawy niewieściej dość ważny przykład.

Pierwsza to bowiem kobieta, w granicach tutejszego kraju, a nawet w całem państwie jak się zdaje, która, przebywszy dwadzieścia pięć lat etatowej służby rządowej, wychodzi właśnie do emerytury. Kurlandka, tak gorliwie zajęta pracą biurową, że po 25-o letnim pobycie w Warszawie nie nauczyła się nawet po polsku, panna X. wobec przykrej stoi obecnie wątpliwości. Dotąd pobierała pensyi 60 rs. miesięcznie. Jest-to najwyższe wynygrodzenie, jakie w biurze telegraficznem tutejszym trzy tylko otrzymują kobiety. Obecnie jednak, ponieważ ustawa nie przewidziała podobno emerytury dla urzędników niewieścich, panna X. zamiast, jak mężczyźni, pełnej pensyi, ma rzekomo otrzymywać tylko 25 rs.

Ponieważ dla osoby steranej długoletnią służbą, mozolną i męczącą, a zatem niezdolnej do innej pracy, 25 rs. miesięcznie nie może stanowić zabezpieczenia bytu na stare lata, kwestya ta więc oprze się zapewne o władze wyższe. Decyzya zaś tych ostatnich stanowić będzie nadal prejudykat, t. j. posiędzie moc obowiązującą w zastosowaniu do wszelkich kobiet, zajmujących posady rządowe.

Ciekawym również objawem wśród zwykłej naszej niezaradności jest panna Bronisława Kolsiewiczówna, właścicielka dóbr Chwaliszew, która— według informacyj „Kuryera war.”—utraciwszy ojca, postanowiła zająć się sama czynnie administrowaniem swego majątku. W tym celu, wypuściwszy go na 6 lat w dzierżawę, studyowała najpierw rolnictwo teoretycznie, w wyższej szkole agronomicznej pod Karlsruhe.

Otrzymawszy następnie w 1889 r. stopień doktorski za napisanie rozprawy konkursowej, panna K. odbyła praktykę w dwóch znaczniejszych gospodarstwach na Szlązku, a ostatnio w dobrach hr. Branickiego, w gubernii kijowskiej. Obecnie, dzielna kobieta, a wykwalifikowana rolniczka, objęła z d. 1 lipca r. b. faktyczny zarząd własnego majątku.

Do przykładów tych, z przeróżnych dziedzin poczerpniętych, dodajmy, iż jedna z mieszkanek tutejszych, po przejściu stosownej nauki w Paryżu i Petersburgu, otwiera w Warszawie specyalną szkołę haftów złotem, zastosowanych do potrzeb kościelnych, mundurów etc. Dalej przypomnijmy, iż inna Warszawianka, Helena Wieluńska, wykwalifikowana szewczka, założyła w Moskwie pracownię, do której kilka już zawezwała pomocnic. Ilość zaś pojedynczych tych faktów pozwoli nam może usprawiedliwić projekt, powstały tam, gdzie działalność niewieścia na szerszą rozwija się skalę.

(Dokończenie nastąpi.)

KORESPONDENCJA Z PARYŻA
o ubiorach.

Paryż, 10 Września 1891 r.

Spóźniliśmy się cokolwiek z naszą wrześniową korespondencyą, a to zpowodu że do tej chwili nie było o czem pisać. Wrzesień to czas prawdziwego przednówka. W teatrach i na przechadzkach widać jeszcze tylko letnie mody; magazyny przysposabiają się do zimowych wystaw, które rozpoczną się za trzy lub cztery tygodnie. Wielkie tylko zakłady krawieckie mają ten przywilej, że fabrykanci przysyłają do nich w początku września próbki najświeższych wyrobów. Dziś zatem zwiedziliśmy pracownię panny Elizy Méry, przy ulicy S-t Lazare n-r 77, a to, cośmy tam widzieli, wypełni nasze miesięczne sprawozdanie.

Wyroby wełniane na zimowe suknie i kostiumy w ogólności sztywne są i mięsiste — czego wymaga płaski krój spódnic, powszechnie dziś przyjęty. Kolory w nich najmodniejsze: wydrowy (*loutre*) w rozmaitych odcieniach, rezedowy, ciemnoheliotropowy, szafirowy, w popielatym lub zielonkowatym odcieniu, ciemno szamoa wpadający w ceglasty kolor, zielony zwany *feuilles mortes*.

Oto szczegółowy opis i nazwiska zimowych tkanin:

Wigoń (neigeux) gruby na oko, ale bardzo miękki i lekki, cały pokryty białym, delikatnym i połyskującym włosem.

Wigoń przerabiany w wypukły deseń — tegoż samego jak tło koloru.

Takiż wigoń w deseń, mieniony w dwóch kolorach: szafirowy z jasno popielatym, wydrowy z rezedowym, heliotropowy z szamoa.

Diagonal, rodzaj serży, w grube ukośne prążki.

Toile de Flandre, zwany inaczej *granite*—jakby bruk, z drobniutkich wypukłych kamyczków.

Wigoń ondulé w dwóch kolorach, cały przerabiany w wężykowate pasy, wijące się wpoprzek heliotropowe na tle czarnem, ciemno-błękitne na tle wydrowem, popielate na ciemno-zielonem.

Pekin wełniany czarny w złote prążki, dawane po trzy w odstępach.

Tkanina *peau de cheval* — w drobne wypukłe prążki tegoż samego koloru, tak zwana gdyż przyjęta do konnej jazdy, robią też z niej zwykle kostiumy do wyjścia na ulicę.

Na strojniejsze suknie *atlas wełniany, satin de chine*, w podłużne prążki, przerabiane jedwabiem tegoż koloru.

Popelina wełniana mięszana z jedwabiem, w wielki deseń kolorowy na tle czarnem lub ciemnem. Najmodniejszy deseń w pioruny (*en foudres*), przerabiane czarnym jedwabiem, na tle rezedowem lub szamoa;—pomiędzy tem przechodzą białe jedwabne prążki, w niewielkich odstępach. Inne desenie w guście japońskim składają się z tulipanów lub innych kwiatów, zwykle w jednym kolorze na tle odmiennem.

Zapiszmy tu jeszcze nową tkaninę z wełny i jedwabiu, zwaną *gauffre*—jest to wigoń przerabiany w wężykowate pasy jedwabne, całe namarszczone, lub też w inny wypukło namarszczony deseń,—zwykle czarny na tle kolorowem. Wygląda to bardzo oryginalnie, co do gustu jednak, przekładamy inne, powyżej wzmiankowane tkaniny.

Kostiumy z sukienka powszechnie przyjęte w roku zeszłym, tak przypadły do gustu Paryżankom, że moda ich, jak nas zapewniają, przetrwa jeszcze przez zimę. Ubierać je będą aksamitem.

Próbki jedwabnych materyj odznaczają się oryginalnością. Są to materye sztywne, jak tego dzisiejszy krój wymaga, broszowane w szczególny deseń: w pierścienie, koła, zygzaki, pioruny, promienie i t. p., tego samego jak tło lub odmiennego koloru. Widzimy też wiele materyj na tle czarnem w deseń kolorowy w niewydatnych odcieniach. Materye do wielkiego ubrania mają tło jasne, a na niem przerabiane bukiety w guście japońskim.

Gładka materya *faille française*, w kolorach ciemno szamoa, heliotropowym, popielato szafirowym, zielonkowato mchowym, przyjęta będzie na wizyty, koncerta i obiady. Do przybrania jej najmodniejszy aksamit i pletnia przetykana kolorowemi ćwieczkami. Dżet nie wychodzi wcale z mody—ubierają nim czarne suknie.

Co do kroju zimowych sukien i kostiumów, to już mniej więcej ustalony w wielkich pracowniach krawieckich. Staniki, rękawy i spódnice będą z jednakowej tkaniny, czy to gładkiej, czy w wielki nawet deseń. Wszelka mięszanina, przyjęta w ostatnich latach, wychodzi zupełnie z mody. Spódnice będą płaskie, tak zprzodu jak po bokach, złożone z ukośnie ściętych brytów *en parasol*, przyfałdowane tylko wtyle, powłóczyste mniejwięcej udołu. Staniki u jednych z baskiną, otwarte, na plastronie lub kamizelce, u innych przymarszczone z przodu, obciśnięte paskiem aksamitnym. Udołu sukni garnirunek składa się z jednej lub dwóch ukośnych plis, przytwierdzonych wgórze galonem. Miejsce szarfy zastępuje kokarda aksamitna, łącząca pasek zboku. Rękawy zawsze bufowane wgórze, lecz bez przesady, od łokcia wązko spięte na rząd drobnych guzików, dość długo wchodzą na rękę.

Widzieliśmy u panny Méry trzy suknie z wymienionych tkanin, przygotowane dla cudzoziemki opuszczającej Paryż; wszystkie trzy zupełnie zimowe. Dajemy tu ich opis.

Suknia z wigoniu ondulé, w wężykowate pasy poprzeczne, szafirowe na tle wydrowem. Spódnica zakończona plisą aksamitną szafirową, szerokości sześciu centimentrów. Stanik otwarty, z baskiną w rodzaju fraczka, długą na pół metra, pod spód plastron szafirowy aksamitny, ujęty w prosty stojący kołnierz, a raczej w obróżkę, nierozciętą zprzodu, spiętą wtyle na aksamitną kokardę. Od boków idzie pasek aksamitny, połączony z lewej strony kokardą aksamitną.

Druga suknia z serży *diagonale* w grube ukośne prążki w kolorze popielato niebieskawym. Spódnica gładka, u dołu plisa ukośna, a nad nią naszyty jedwabny galonik tegoż koloru. Westka otwarta, pod spód kamizelka kretońska z kaszmiru pomarańczowego, haftowana różnokolorowym jedwabiem. Westka objęta wkoło pletnią. Rękawy nieco bufiaste, spięte u ręki na rząd drobnych guzików.

Trzecia suknia, bardziej jeszcze zimowa, z wigoniu w wypukły deseń w kolorze heliotropowym. Dół spódniczki objęty paskiem futra na cztery centimetry. Nad tem idzie plisa aksamitna szerokości dwunastu centimetrów, wycięta w ostre zęby odwrócone dogóry. Stanik przymarszczony lekko, otwarty, na plastronie aksamitnym tegoż koloru, obciśnięty aksamitnym paskiem, tworzącym zprzodu bawet. Do tego dodana peleryna futrzana, do stanu, z kołnierzem *Marie Stuart*, obróconym dogóry.

Ponieważ suknie powłóczyste wymagają na ulicy podniesienia, noszą pod nie spódniczkę jedwabną, czarną lub w ciemnym odpowiednim kolorze, naszytą udołu kilkoma rzędami aksamitki.

Do sukien codziennych używane powszechnie skórzane paski, w kolorze naturalnym lub czarnym. Robią je na rozmaity sposób, jedne w rodzaju szwajcarskich z odwróconym bawetem, sznurowanym na przedzie, inne, najmodniejsze, składają się z czterech rzemyków, wązkich na cal, połączonych z sobą w ostępach. Każdy rzemyk spina się na osobną stalową sprzączkę. Przyczepiają do nich portmonetkę, lornetkę i maleńki woreczek do chustki. Zgrabnie to wygląda na szczupłej i młodej figurce.

S. D.

TALERZ WESELNY.

NOWELA.

PRZEZ

OUIDĘ.

(Dalszy ciąg.)

Miesiąc czy dwa miesiące temu, młoda dziewczyna, kiedy koło niej przechodził, spojrzała na niego, nie ukradkiem, jak inne, ale otwarcie i z niewysłowioną słodyczą. Miała oczy niebieskie, a Faello, patrząc w nie, myślał o Madonnach, znajdujących się w galeryi królewskiej we Florencyi.

Nigdy do niej nie przemówił; to mu nawet na myśl nie przyszło.

Była to córka jednego z fabrykantów naczyń glinianych, którego garnki woził do Florencyi.

Tylko co opuściła klasztor, gdzie pobierała nauki i wprawiła się do rozmaitych delikatnych robótek. Stała bez porównania umysłowo wyżej od niego, niby córka szlachcica, a jednakże lubił myśleć o niej podobnie jak z upodobaniem myślał o świętych. I to było wszystko.

Jednego dnia pogłaskała Pastora.

Faello ucałował to miejsce, na którem chwilowo jej ręka spoczęła, poczem zarumienił się jak dzieciak.

I oto, pewnego pięknego wiosennego poranku, jej spojrzenie, pełne niewysłowionej słodyczy, zatrzymało się na nim; od tej chwili widział je wszędzie i zawsze, na lazurze niebios ponad swoją głową, w błękicie niezapominajki nad brzegiem strumienia.

I ogarniał go przestrach połączony z cierpieniem.

Muł jego złamał nogę, potrzeba było dobić na drodze biedne stworzenie.

Dla Faella była to tak ciężka próba, jak gdyby jemu samemu ucięto nogę; bez muła nie mógł zarabiać. Nie był wstanie kupić drugiego muła, bo nie miał pieniędzy.

Ksiądz miejscowy próbował dla niego zebrać składkę, ale nikt nie dał ani centyma.

— Młody — mówili ludzie, — może pracować. Jest wielu biedniejszych od niego, a my sami czy jesteśmy bogaci?

Właściciele garncarni, którym służył wiernie, odmówili mu pomocy. Faello zmuszony był najmować muła. Ale opłata komornego pochłaniała cały owoc jego pracy. Nędza wielka panowała w chacie.

Zaspakajał głód kawałkiem chleba jedynie, dzieląc się nim z Pastorem.

Dnia jednego, w niedzielę, jakiś mężczyzna wszedł do chaty, prosząc o szklankę wody.

— Zdaje mi się — wyrzekł po chwili, — że macie tu osobliwość, stary talerz; czy mogę go widzieć?

— Czemu nie? — odpowiedział Faello, wskazując palcem talizman rodzinny.

Nieznajomy miał ochotę zdjąć talerz ze ściany, ale Faello wstrzymał go za rękę.

— Nie zdejmujcie go — zawołał, — my nigdy go się nie dotykamy.

— Nie dotykacie go nigdy? — powtórzył mężczyzna, nie rozumiejąc znaczenia słów, poczem prosił o pozwolenie zapalenia lampy, aby mógł się przypatrzeć talerzowi.

— Jest-to starożytność i rzadkość—rzekł nawpół do siebie, gasząc lampę. — Daję wam pięć franków.

— Nie jest do sprzedania — odpowiedział Faello sucho.

— Co za dziecińsłwo! — zawołał nieznajomy. — Na cóż wam się przyda wiszący talerz na ścianie? Daję za niego dziesięć franków.

Faello potrząsnął głową.

Mężczyzna po chwili ofiarował 20 franków, następnie 25, 30, 40, w pół godziny doszło do 100 franków.

Sto franków!

Faello drżał ze wzruszenia.

Za sto franków dostałby muła.

Jednakże raz jeszcze potrząsnął głową, powtarzając: „nie jest do sprzedania."

Mężczyzna rzucił się ku drzwiom z wściekłością.

Był to kupiec starożytności; odrazu poznał się na wysokiej wartości talerza z wyborowego fajansu Urbino, zachwycił go przytem doskonały jego rysunek.

— Głupcze, kapuściana głowo! — wołał ze złością, dodając przytem ulubione przekleństwo Toskańczyków. — Na co ci się przyda ten talerz wiszący próżny na ścianie? Żeby cię apopleksya zabiła!

Ale Faello nie lękał się apopleksyi, chociaż codziennie wystawiony był na połykanie tumanów kurzu, narażony bezustannie na straszne upały letnie. Niedosyć na tem, kawałek chleba i główka cebuli, umoczone w najgorszym gatunku wina, stanowiły całe jego pożywienie.

Zbiór ostatni winogron wcale się nie udał, butelka też dobrego wina kosztowała franka, a zbytek ten przystępnym był tylko dla bogatych.

Ale stała się rzecz dziwna.

Zaraz po wyjściu kupca starożytności, który wybiegł z chaty z gniewem, wiele osób przyszło oglądać talizman rodzinny, ofiarując za niego rozmaite sumy pieniędzy.

Faellowi ani na myśl nie przyszło, że to właśnie kupiec wysyłał wszystkich od siebie do niego. Biedny chłopiec bezustannie wystawiany był na wielką pokusę. Jednakże każdemu dawał odpowiedź odmowną.

Lecz kiedy uklęknął wieczorem przy mogile swojej babuni, na cmentarzu położonym na wzgórzu, wśród

białych murów, po zmówieniu pobożnie „Zdrowaś Marya,” z całym spokojem sumienia mógł powiedzieć: — „Babuniu moja, wszak jesteś ze mnie zadowolona!”

Córka właściciela garncarni przychodziła również na cmentarz, bo tu spoczywały zwłoki jej matki.

Kilka razy Faello, spostrzegłszy ją, z uszanowaniem uchylał kapelusza, jako przed córką swego chlebodawcy, ale nie śmiał spojrzeć.

Raz jednakże podniósł na nią swoje wielkie, wymowne oczy, a serce biło mu przy tem tak silnie, że mu to aż oddech zatamowało.

We dwa dni potem ośmielił się w nieobecności Dei złożyć kilka kwiatków na grobie jej matki.

Myślał w duchu: „czy też odgadnie, kto złożył kwiatki na grobie?” Ale naprawdę jakimże sposobem odgadnąćby to mogła? Alboż kwiatki mają mowę? Przecież jej tego nie powiedzą.

Nigdy słowa nie przemówiła do niego, odzywała się tylko do Pastora.

Od chwili, gdy go pierwszy raz pogłaskała, pies, spostrzegłszy ją zdaleka, biegł ku niej z pośpiechem.

Było to wieczorem, po skończonej pracy dziennej, w chwili, kiedy gwiazdy poczynają się ukazywać na niebie, a gwiazdki ziemi, tak śliczne kwiateczki kwitnące tylko w nocy, rozjaśniają pagórki i doliny, rozpościerając się całemi grupami w zbożu.

— Tak, Dea jest śliczną dziewczyną — rzekł jeden z sąsiadów, — mówią że Tista, mieszkający ot tam na wzgórzu, stara się o nią.

Gian Battista, młody dzierżawca, był dosyć zamożny, jeździł na koniu o ognistej krwi, ubierał się w suknie aksamitne w zimie, z lekkiej materyi w lecie, a mieszkał w starej wieży, wznoszącej się na jednem z sąsiednich wzgórzy. Jednem słowem był bohaterem okolicy.

Słysząc te rozmaite zdania sąsiadów, Faello myślał, że wszystkie gwiazdy na niebie i owe śliczne gwiazdki szarej roli poznikały nagle, a ziemia stała się smutną i ponurą.

Ale cóż go to obchodzić mogło—ta Dea ze swemi oczyma koloru przylaszczki, swemi złotemi warkoczami, swoim sznurkiem pereł na szyjce białej, z posagiem z 5,000 franków złożonym, nie licząc w to cienkiej bielizny.

On przecież musiał myśleć o pracy, by uchronić siostry od śmierci głodowej.

Ojciec Dei raczył go zauważyć wówczas tylko, gdy mu dawał jakiś rozkaz, lub wypłacał jego należność w sobotę. Uważał Faella za przewoźnika nic więcej.

Ser Baldassare mieszkał w dużej kamienicy z zielonemi okiennicami, nosił łańcuch złoty, był osobistością bardzo ważną w Imprunecie.

Mówiono powszechnie, że napełniwszy pięć garnków biletami banku francuzkiego, nie stałby się uboższym, ale być może, że w całej tej gadaninie bardzo przesadzano.

W każdym razie, była to osobistość wysoko stojąca w oczach Faella, który woził tylko do miasta piękate garnki polewane i inne naczynia wielkości kadzi piwowarów angielskich, na których Ser Baldassare zrobił piękną fortunkę dla Dei i jej trzech praci.

Otóż i lato z powrotem, piękne lato, gorące natualnie, ale wieczorami deszcz obfity odświeża powietrze.

Pszenica, żyto, jęczmień, owies ślicznie rosną, obiecując obfite zbiory.

Już kilka razy koszono trawę, winobranie i zbiór oliwek zapowiadają się również świetnie. Ale do ubogiej chaty Faella nic z tego bogactwa nie przybędzie.

Od śmierci Giudetty wszystko idzie coraz gorzej.

Najstarsza siostra Kandida ledwie nie umarła na silne zapalenie gardła; uniknęła wprawdzie niebezpieczeństwa, ale od swej choroby nie może pracować, zbyt jeszcze jest słabą. Utrzymuje że gdyby jej nie pozbawiono sznurka z koralików, leżącego dziś na dnie studni, z pewnością nie byłaby zachorowała.

Ztego wnosić można, że logika była jej słabą stroną i że lubiła się stroić, ale nic to dziwnego: była ładną i miała lat piętnaście.

Wieprz po długiem niedomaganiu zdecydował się nagle zakończyć marne życie.

Pewnego pięknego poranku skradziono pięć kur z kurnika, w chwili kiedy Faello i Pastor już całą milę ujechali z domu.

Toinetka spadła z drzewa wiśniowego i złamała nogę.

Cały ciężar gospodarstwa spadł obecnie na trzy siostry zdrowe, które użalały się bezustannie, że to przechodzi ich siły.

Kiedy więc Faello wrócił wieczorem do domu, musiał zamiatać izby, pracować w ogródku, a nawet prać koszule.

Ta praca najwięcej go kosztowała, bo jakże śmiesznym wydaje się mężczyzna piorący bieliznę!

Sąsiedzi z pewnością byliby mu pomogli, ale Giudetta była zbyt dumną, by się zniżyć do prośby, a Faello pod tym względem był zupełnie do niej podobny.

Ludzie z trudnością przebaczają dumę biednym, o tem wiemy wszyscy.

Niekiedy Faello patrzył ze smutkiem na talizman rodzinny, który zawsze miał przynosić szczęście, ale jakoś wcale się z tem nie śpieszył.

Nigdy mu jednak na myśl nie przyszło, by zdjąć talerz ze ściany i zanieść na sprzedaż.

Czasami, kiedy prał bieliznę lub uprawiał ziemię w ogródku, w czystej atmosferze przeniknionej purpurą zorzy wieczornej, smutnym jego oczom ukazywał się Battista na dzielnym koniu.

— Patrzcie! — wołali ludzie, śmiejąc się, — jedzie w koperczaki do Ser Baldassara. Wie on doskonale jak się brać do rzeczy, by posiąść Deę!

Serce Faella na te słowa zamierało w piersiach, niby ciężki kamień spadający zwolna do wody. Zdawało mu się, że dłużej już nie zdoła nieść ciężaru, przytłaczającego jego życie. Ale te chwile słabości przechodziły szybko; nazajutrz brał się do pracy, gdyż był odważny i cierpliwy z natury.

Pewnego ciepłego poranku sierpniowego wstał o zwykłej porze i wsiadł do wózka w chwili, gdy pierwsze blaski różowego światła, ukazały się na niebie, ponad górą przeciwległą. Pastor wskoczył mu na kolana i wózek uniósł ich zwykłą drogą. Obadwaj byli głodni, bo nigdy nic nie jadali do południa.

Zajechawszy na dziedziniec garncarza, Faello spostrzegł, że jego ładunek dzisiejszy będzie dwa razy większy niż zwykle. Ogrodnik miejski zamówił znaczną liczbę doniczek do kwiatów rozmaitej wielkości. Prócz tego dano mu jeszcze inne polecenie.

Dozorca robotników fabrycznych wręczył mu pakiecik zapieczętowany.

— Są tu bilety — mówił,—które złożysz w banku. Pan fabrykant wie, że jesteś uczciwym chłopcem, dlatego też ci ufa. Gdy tylko przybędziesz do miasta i oddasz doniczki, wypłacisz w banku powierzone sobie bilety.

Faello zarumienił się z radości; po raz pierwszy Ser Baldassare dał mu poznać, że uważa go za uczciwego, a przecież Ser Baldassar był ojcem Dei.

Z lżejszem daleko sercem, niż przed kilkoma miesiącami, Faello trzasnął z bicza i pobiegł obok swego muła. Pastor, jak zwykle, biegł przodem.

Faello był prawie szczęśliwym, myśląc że ojciec Dei powierzał mu pieniądze, które jego chlebodawca kochał nad wszystko w świecie, bardziej niż duszę własną, niż córkę nawet.

Słońce jaśniało na niebie w swojej chwale, a jego światło łagodne rozlewało się po całej przestrzeni Waldorno.

W opactwie dzwoniono na prymaryą.

Faello ukląkł na piasku, pod krzyżem stojącym przy drodze, zmówił krótką modlitwę i powstał prawie szczęśliwy.

Pastor, siedząc nieruchomie wczasie modlitwy swego pana, wskoczył mu na piersi gdy powstał. Faello uściskał go serdecznie.

— Niedosyć być uczciwym — mówił Faello do psa, — ale, mój kochany Pastorze, jakże to słodko usłyszeć, kiedy ludzie nas chwalą za naszę uczciwość!

Pastor wesoło popędził drogą, rozwijając radośnie białą kitę swego ogona. Może myślał że psy zawsze są uczciwe, ale że ani wielki honor, ani wielkie korzyści nie spływają na nie za ich wierną i gorliwą służbę.

Już był dzień wielki, kiedy przybyli do miasta. Po ulicach pustych i cichych słały się długie cienie, za każdym krokiem napływały wonie kwiatów niby z ogrodu, gdyż w każdym rogu ulicy stały snopy goździków, róż, lewkonij, czekając na kupujących, którzy nigdy nie przychodzą tak wcześnie.

Faello i Pastor zatrzymali się chwilę, by się napić wody z wielkiej bronzowej cysterny Św. Jakóba, następnie odwieźli ogrodnikowi doniczki do kwiatów. Była już godzina jedenasta, a głód straszliwie panu i psu czuć się dawał.

— Trzeba naprzód oddać pieniądze do banku, a potem pomyślimy o jedzeniu—rzekł Faello do psa i wolno prowadził wózek na plac bankowy.

Przybywszy na miejsce przeznaczenia, podług zwyczaju postawił Pastora na straży przy mule, a sam, uchyliwszy wielkie drzwi oszklone, wszedł do banku.

Kazano mu czekać dosyć długo na drugiem piętrze, w małym pokoiku; urzędnicy bardzo byli zajęci, bo to był dzień targowy. Trzy długie kwadranse upłynęły, czas wydawał mu się długi, gdyż w tej ciasnej izdebce gorącej było niż na ulicy; jeść mu się chciało okropnie. Serce mu się ściskało na myśl o biednym Pastorze głodnym, leżącym na rozpalonym bruku, pod piekącemi promieniami południowego słońca. Spokojnym był jednakże o muła i wózek, gdyż pies czuwał nad jego chudobą.

Kiedy mu oddano pokwitowanie, mówiąc że może jechać do domu, była już dwunasta; jest-to bardzo niebezpieczna godzina dla psów i ludzi.

Faello zbiegł wesoło ze schodów, szczęśliwy, że go już uwolniono.

Ale zaledwie stanął na progu, zatrzymał się przerażony, przebiegając oczyma ulicę w całej jej długości. Pastor znikł z mułem i wózkiem.

Zdawało mu się, że śni, że palące promienie słońca olśniły mu oczy, przyłożył rękę do ust, kilkakrotnie głośno wołając Pastora.

Jakiś posłaniec, śpiący w cieniu pod bramą kamienicy, zbudzony temi krzykami, zbliżył się do Faella i wstrząsając go za ramię:

— Nie krzycz tak — zawołał, — mój chłopcze

i ciebie mogą aresztować, jak twego psa, któremu zarzucono postronek na szyję.

— Co! — krzyknął Faello ze strachem śmiertelnym.

Posłaniec skinął głową.

— Tak, zarzucono mu postronek na szyję. Wszak znasz prawo, żaden pies samopas nie może biegać po ulicy. Cichaczem stanęli za nim, gdy pilnował wózka i muła, i... paf, w jednej chwili miał powróz na karku, leżąc na wpół uduszony, z wyciągniętemi dogóry łapami. To rzecz zwyczajna. Ale nie rób tak strasznej miny, żył jeszcze, kiedy go na wózek rzucono.

— A mój wózek, a mój muł? — wołał żałośnie Faello, załamując dłonie.

— Zapewne ktoś je zabrał, kiedy psa twego uwieziono. Patrzyłem na to wszystko, ale cóż mnie to obchodzić mogło. No! nie róbże tak strasznej miny.

Faello wydał krzyk rozlegający się daleko wśród ciszy pustej ulicy.

— Pastorze! — wołał żałośnie — mój psie, mój przyjacielu, mój bracie. O, szatan!

— Uspokój się — mówił posłaniec łagodnie. — Jeżeli będziesz na nich wymyślał, zaaresztują cię jak mego chłopca, za to, że ich trochę poturbował, ratując swego psa. Nie hałasuj, ale śpiesz się, zapewne go jeszcze nie zabili; biedne stworzenie, już nawpół był uduszony! Biegnij prędko.

Ów poczciwiec wskazał mu miejsce, gdzie się ma udać, a Faello popędził jak strzała. Bose jego nogi drżały na rozpalonym bruku. Zapomniał zupełnie o wózku i mule i pędził jak szalony przez miasto.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PIŚMIENNICTWO

Nowe wydawnictwa już poczynają wychylać swoje okładki z za szyb księgarń — znaczy to rozpoczęcie sezonu jesiennego, który już gromadzi materyał na zimę. Jak się godzi, pierwsze książki przeznaczone są dla kobiet; one zresztą czytują teraz najwięcej. Nie rozpoczęto jednak bynajmniej komplimentem, bo oto najpierwsza nowość nosi tytuł: „*Głupota mody.*" Jak wiadomo, moda ma najpotężniejsze władztwo śród kobiet. Ale co nie jest komplimentem, to może jeszcze być i najżyczliwszą przestrogą. Otóż w tak zatytułowanej broszurze doktór medycyny, E. Meynert, mówi długo i szeroko o tych wszystkich głupstwach mody, którewdzięczne na chwilę, podkopują piękność, czerstwość, zdrowie, wszczepiają choroby, następnym pokoleniom niosąc fatalne dziedzictwo charłactwa.

Nie mam zamiaru przytaczać szczegółów z książki roztropnego lekarza, ale zato gorąco polecam ją uwadze tych pań, które hołdują wszystkim najniedorzeczniejszym przepisom i kaprysom mody, bez względu na ich fatalne następstwa. Bywają one nietylko natury fizycznej, ale i moralnej: moda częstokroć staje się wrogiem wesołości, swobody umysłu, a nieraz uczy fałszu i obłudy.

Polecam także gorąco pracę d-ra Adolfa Bagińskiego p. t. „*Życie kobiety.*" Wyszła ona teraz w wydaniu drugiem, co bywa u nas zawsze dla książek poważnych rekomendacyą jaknajpochlebniejszą. Powinny ją czytać wszystkie... *matki*, lub te, które niemi wkrótce zostać mają. Dowiedzą się z niej, jak należy pielęgnować zdrowie dziecięcia-kobiety, poznają tajemnice organizmu niewieściego aż do lat ostatecznego jego rozwoju — pozbędą się wielu przesądów śmiesznych i szkodliwych i zrozumieją może, dlaczego pewne emancypacyjne zachcianki równości z mężczyznami nigdy zadosyćuczynienia nie znajdą, spotykając nieprzeparte przeszkody w samych prawach natury.

Z literatury nadobnej nowością są „*Powieści prawdziwe*" Ostoi, nowością bardzo piękną i dlatego bardzo pożądaną. Autorka w tym zbiorku pomieściła osiem nowel i szkiców, będących wybornemi i bardzo prawdziwemi obrazkami życia. Umie ona patrzeć na ludzi i zaglądać do ich serc — umie też w sposób najprostszy rysować ich fizyognomie zewnętrzne i wewnętrzne. W jej opowieściach wszystko jest naturalne i prawdopodobne, a przecież wcale nie pospolite. Czytelnik czyta to z zajęciem niesłabnącem ani na chwilę i — odczuwa co czyta. Nie sili się na oryginalność, chociaż zdobywają niezmiernie łatwo. Nie szuka postaci nadzwyczajnych, ani niezwykłych sytuacyj — nie wikła i nie plącze sztucznie wątku, a jednak snuje się on wciąż barwnie i przykuwa do siebie uwagę czytelnika. Tym zaletom odpowiada styl autorki—swobodny, naturalny, płynny, do opowieści nadający się doskonale.

Dla dzieci pani Bronisława Leśniewska ułożyła „*Czterysta powinszowań,*" które niezawsze zalecają się wykwintną formą i pięknym wierszem, ale zato posiadają dużo treści i rozmaitości, o co w podobnych utworach niełatwo. Są tu życzenia niesione z okazyj najprzeróżniejszych świąt rodzinnych i kalendarzowych, dla różnych osób, w ilości bardzo znacznej. Podręcznik taki może się przydać w każdej rodzinie i odpowiada potrzebie, a tym sposobem wart jest zalecenia.

Rz.

Z TYGODNIA

Warszawa wciągu ostatnich dni kilku rozpoczęła nowy rok szkolny, doznała chłodów jesiennych i ujrzała otwarcie teatru Wielkiego. Wszystko to są rzeczy znaczenia pierwszorzędnego, o których nie wspomnieć, dla pamięci pokoleń przyszłych, byłoby grzechem.

Daleko jednak obszerniejsze znaczenie posiadał gwałtowny, gorączkowy eksport żyta, który nastąpił wskutek zakazu wywożenia go od d. 27 zeszłego miesiąca. Korzystano na potęgę z kilku dni, jakie jeszcze ten termin od chwili bieżącej przegradzały, młócono ziarno, sypano w worki, ładowano na wozy, wyprawiano do granicy i—co najważniejsza, brano za żyto ceny dotąd niepraktykowane.

Wykazy urzędowe głoszą, że najbliżsi nasi sąsiedzi od zachodu wciągu dni kilku kupili ziarna za 20,000,000 marek—wskutek czego okolice nadgraniczne pozbyły się żyta prawie zupełnie. Było go w tym roku o wiele mniej niż zwykle, zapasy przeto dały się wyczerpać z łatwością. Kto wie, czy ów zbyt gwałtowny nie odbije się później smutnym, długim, głodowym przednówkiem... Wszakże są w kraju gospodarstwa, w których zbiór żyta wypadł tak licho, że o siewie tego ziarna myśli się z troską. U nas jednak lepiej jest jeszcze, niż u niemieckich sąsiadów naszych, którzy w lata najpomyślniejsze bez cudzego chleba obywać się nie mogą. Zakaz wywozu żyta jest dla nich stanowczą klęską...

Jak to szybko mijają wielkość i sława! Wszakci to nie tak bardzo dawno, jak mąż żelazny chwalił się, iż ma tylko wrogów. Nie wiem, doprawdy, co w spodziewaniach jego mogło mu z tego przyjść, ale dzisiaj, kiedy trzeba urządzonym przez niego współrodakom śpiewać Tadeusza, oczywiście na głodno, zapewniają oni, że mają tylko samych przyjaciół, w tych nawet, których się przez wieków dziesiątek oszukiwało, grabiło, krzywdziło!

Przepraszam, zapędziłem się w sfery dla siebie niedostępne; wracam czemprędzej na bruk warszawski.

Teatr Wielki tedy otwarty—wygląda wspaniale. Pozaprowadzano w nim wszystkie możliwe udogodnienia, i to w tak wysokim stopniu, iż życzyć tylko należy, ażeby dusza jego, sztuka, zdołała się utrzymać na jednym z niemi poziomie. Wygoda i wykwint podały tu sobie ręce w najzgodniejszej harmonii. Wszystkim tym udoskonaleniom przyświeca elektryczność, która, wbrew twierdzeniom pesymistycznym, wcale znów tak bardzo fizyognomij przedmiotów nie zmienia, aby one wyglądać miały karykaturalnie.

Teatr zyskał znakomicie na obszerności, której przecież nie spożytkowano wcale na rzecz kasy wyłącznie: co pod tym względem przybyło, zużyto na wygodę dla widzów. Nie trzeba się tedy tłoczyć, ściskać, przesuwać, prześlizgiwać—jest tyle swobody dla ruchów, że jej więcej nie potrzeba.

Wprawdzie popodnoszono ceny miejsc, ale są one wszystkie, od dołu do wierzchołka, numerowane. Wprowadzono też udogodnienie, dodając do każdego numeru lornetkę, którą się przy wyjściu zwracać winno. *A propos* tego uprzejmego udogodnienia, zwracamy uwagę czytelników swoich, że lornetka, jak nóż, widelec, chustka do nosa i t. p. przedmioty, powinna być zawsze własna. Dlatego poprostu, że choroby oczów bywają bardzo zaraźliwe i że jedno dotknięcie przenosi je z zupełną łatwością.

Znalazłszy się na terytoryum teatralnem, przyjrzyjmy się „Roznosicielce chleba," melodramatowi francuzkiemu w dziewięciu obrazach, najświeższemu nabytkowi sceny Letniej.

Sztuka zrobiona na starą modłę, ot, zwyczajnie melodramat, ale, jak się to mówi, sensacyjna, co znaczy że nakazuje widzowi czuć, drażni jego nerwy, ze słabszych oczów łzy wyciska. Wyszliśmy już trochę z tego rodzaju widowisk, nauczyliśmy się dopatrywać w nich naiwności—bardzo zresztą poczciwych—ale kiedy niekiedy dobrze jest oddać się wrażeniom jakie wywołują, zapomnieć choć na chwilę o bezmyślności sztuki, uprawianej na potęgę przez najrozmaitsze teatra i ogródki. Życie byłoby straszliwie nudne, gdyby przynosiło nam tylko śmiech — bezmyślny, pusty, niekiedy brutalny.

Czy wiecie państwo, że za dni kilka zamkną się już owe przybytki Melpomeny i piwa bawarskiego, w których przez lato całe odbywała się zacięta walka o powodzenie kasy z deszczem, chłodem i ubóstwem repertuaru? Maluczko, a przyjdzie wystawiać rezultaty tych usiłowań, których uczciwie dodatniemi nazwać nie można. Nie chciałbym zape-

wniać, że bilans wypadnie korzystnie. Jak co rok, dopiero pod koniec sezonu teatrzyki się rozruszały i uderzyły w stronę twórczości oryginalnej.

Z tej jednak kopalni wydobyto zaledwie parę cenniejszych kryształów (nie dyamentów, broń Boże!)—resztę pozycyj zapychając balastem roboty bez znaczenia wogóle, a często najlichszej poprostu fuszerki.

Nic naturalniejszego! Ci panowie „dyrektorowie,” to przecież ludzie ubocznie do losów sceny przyplątani. Najwyższe prawo przewodnictwa otrzymali od posiadanego szczęśliwym trafem kapitaliku, który przecież ani talentu, ani umiejętności nie daje. W większej części spekulanci, nie artyści, dla interesu dali się obsiąść całej chmarze reporterów, którzy im też sztuk własnego wyrobu dostarczają. Dlaczegóżby nie mieli tego robić, skoro im się to opłaca? A tymczasem panowie kierownicy teatrzyków, nie umiejąc odróżnić ziarna od plewy, zanieczyszczają scenki swoje śmieciami tego balastu, wierząc, iż gdyby był tylko dostatecznie tłusty, pieprzny i podkasany, to wystarczy najzupełniej, aby przy jego pomocy „robić kasę.”

Trochę tu pobłażaniem zawiniła prasa, której jednak przyznać trzeba, iż straciwszy wiarę w pomyślne jego skutki i cierpliwość, tęgie obecnie cięgi sprawia winowajcom. Oni zżymają się, pozują na męczenników idei (zapewne operetkowej), biadają na niesprawiedliwość i prześladowanie, ale nie rozumieją i rozumieć nie chcą, ba, nie mogą nawet, że można im życzyć dobrze, ale lepiej scenie, która przy takiej ich robocie idzie na marne.

Ach — gdyby ci panowie zechcieli zakasać rękawów, a wziąć się do książki — byłyby ztąd korzyści niezawodne!

Czy wiecie państwo, że od dwóch miesięcy sypią się jak z rękawa katastrofy kolejowe, które w tak krótkim czasie przewyższyły liczbą setkę, a nazabijały i nakaleczyły ludzi na dziesiątki tysięcy? Wszędzie prawie przyczyną ich bywa niedbalstwo służby kolejowej, które znów bywa wynikiem stosowania systemu oszczędnościowego. U nas stosunkowo tych katastrof kolejowych najmniej, a przypadki wydarzone bywają rozmiarów tak drobnych, że w rachunku ogólnym znaczenia nie mają. Tymczasem okazała się wszędzie potrzeba przedsiębrania jaknajwiększych ostrożności na kolejach. Szuka się też środków bezpieczeństwa przeciw następstwom wielce cywilizacyjnego wynalazku, jakim jest proch bezdymny. We Francyi myśli się bardzo poważnie o osłanianiu wojska tarczami zbiorowemi pod ogniem nieprzyjacielskim! To znaczy, że cywilizacya zsyła ludzkości podarunki wprawdzie arcy-doniosłe, ale nie zawsze bezpieczne...

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

* **Komitet** Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem ma honor podać do wiadomości pp. artystów malarzy, rzeźbiarzy i budowniczych, iż w roku 1892, wczasie pomiędzy 1 i 15 Czerwca, otwarta będzie w Monachium wystawa sztuk pięknych międzynarodowa. Każdemu artyście przysługiwać będzie prawo do przesłania na pomienioną wystawę najwyżej trzech prac swoich z ostatnich lat dziesięciu, z wyjątkiem artystów malarzy, z których każdy będzie mógł przesłać po trzy swoje dzieła z każdego rodzaju malarstwa, to jest po trzy obrazy olejne, po trzy pastele, po trzy akwarelle i t. d. Termin dostawy dzieł do Monachium oznaczono na 1 Kwietnia. Po otrzymaniu szczegółowych regulaminów i druków na deklaracye, komitet Towarzystwa nie omieszka natychmiast zawiadomić o tem pp. artystów przez tutejsze pisma publiczne.

Nadto komitet ma honor przypomnieć pp. artystom malarzom, iż w miesiącach Styczniu i Marcu 1892 roku odbędą się w Towarzystwie dwie wystawy konkursowe malarskie: w Styczniu Wystawa Towarzystwa i w Lutym Wystawa imienia Józefa Kuryerowa, z nadmienieniem, iż prace przysłane na obie te wystawy, po zamknięciu ich, będą mogły być wysłane przez Towarzystwo na wystawę międzynarodową do Monachium, na wskazany wyżej termin 15 Kwietnia.

* **Dwojaka grzeczność.** Teatr w ogrodzie Saskim, który tak grzecznym okazał się dla swej publiczności powozowej, że nie wahał się kawałka ogrodu poświęcić na kryty podjazd do swoich powozów, dla publiczności pieszej nie ma nawet tyle uprzejmości, żeby dla bezpieczeństwa jej nosów a *respective* i karków, nie kazać gasić latarń i zamykać bram ogrodowych przed zupełnem jej wyjściem z ogrodu po przedstawieniu. Trzeba tak... poczciwej i tak zamiłowanej w teatrze publiczności jak nasza, żeby tego lekceważenia nie wziąć do serca, szukać sobie drogi do domu poomacku, kołatać do wszystkich bram pokolei i—mimo to do teatru przychodzić. A nie trzeba zapominać, że ta to właśnie, tak po macoszemu traktowana publiczność, jest główną, bo najliczniejszą i najwierniejszą liwerantką rubli do kasy teatralnej.

* **Stróż zagadkowy.** W tych dniach zmarł długoletni stróż ogrodu na Czystem, Józef Łopuszewski, starzec ośmdziesięcioletni. Przed samą śmiercią dopiero przyznał się, że jest kandydatem nauk matematycznych uniwersytetu kijowskiego, wydobył dyplom swój i prosił, aby go przesłano jego synowcowi. Dlaczego ten człowiek z uniwersyteckiem wykształceniem przez tyle lat pełnił służbę prostego stróża?

Byłoż to dziwactwo czy ekspiacya?... Ileż to takich cichych a bolesnych dramatów rozgrywa się wśród społeczeństwa, które przechodzi około nich obojętnie, nie przeczuwając nawet, że się ociera o tajemnicę, kryjącą w swojem łonie morze gorzkich łez, a może plamy krwi, przelanej w chwili wybuchu namiętności...

* **Do naśladowania.** W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w roku 1872, powstał projekt, aby każdy obywatel rzeczypospolitej, w pewnym oznaczonym dniu, przynajmniej jedno drzewo wciągu roku zasadził. Projekt ten nie jest bynajmniej prawem obowiązującem, ale Yankesi, którzy umieją cenić pomysły praktyczne i nad którymi nie trzeba stawiać policyanta, żeby dopełnili tego, do czego się choćby wobec samych siebie zobowiązali, wzięli projekt do serca i wogóle stosują się do niego. Niejeden zapewne zapomni o owym dniu, albo nie zechce sobie trudu zadawać; ale inny zato, zamiast jednego, zasadzi drzew kilka a nawet kilkanaście i więcej, tak, iż obliczono, że dzięki owemu projektowi, przez lat ośmnaście zasadzono w Ameryce Północnej 355,000,000 drzew leśnych i owocowych. Ciekawa, rzecz ileby też zer odciąć trzeba było od tej cyfry, gdyby podobny zwyczaj u nas był ktoś spróbował zaprowadzić?... A jednak Amerykanom, którzy posiadają jeszcze ogromne obszary puszcz dziewiczych, brak lasów dotąd wcale nie zagraża, podczas gdy my niedługo podobno drzewo na zapałki będziemy musieli z za morza chyba sprowadzać.

* **Szpital w Tworkach**, stosownie do zapowiedzi, gotuje się do otwarcia w tych dniach swoich podwojów dla jednej z największych nędz ludzkich. W przeszłą środę dokonano tam próby oświetlenia wszystkich gmachów światłem elektrycznem, które się powiodło zupełnie, na brak światła w szpitalu ani pacyenci, ani ich opiekunowie żalić się nie będą mogli. Ośm lamp łukowych i 573 żarowych będzie rozlewało potoki światła po szpitalu, a każda lampa łukowa znaczy tyle co 1000 świec, podczas gdy żarowa zastępuje ich 10 do 25. Urządzeniem tego oświetlenia zajmował się inżynier tutejszy, pan Wasilewski.

* **Kucharze i książeczki służbowe.** Wyczytujemy w dziennikach wiadomość, iż na przedstawienie niedawno zawiązanego cechu kucharskiego, kucharze nienależący do tegoż cechu zobowiązani zostali do wyrabiania i opłacania książeczek służbowych. Nam się zdaje że każdy kucharz, bez względu na to czy należy, czy nie należy do cechu, jeżeli nie prowadzi kuchni na własną rękę, czyli jeżeli nie jest restauratorem, powinien mieć książeczkę służbową. Założenie cechu nic nie zmieniło w charakterze zajęcia kucharza, który, o ile przyjmuje obowiązki prywatne, jest raczej sługą, niż rękodzielnikiem. Choćbym był najmocniej przekonany, że jakiś majster fachu kulinarnego potrafi gotować jak anioł, nie przyjmę go do służby, jeżeli nie będę wiedział, jak się w poprzedniej służbie sprawował, czy nie jest pijakiem, awanturnikiem i t. d., o czem nic mnie objaśnić nie jest wstanie, prócz świadectw jego poprzednich chlebodawców, w książeczce służbowej zapisanych.

Pod tym względem cech nie może dać żadnej rękojmi i dlatego cech kucharski może jest bardzo pożądaną i pożyteczną instytucyą, ale tylko dla kucharzy samoistni [illegible] ię trudniących.

* **Tryumf nowego prawa o lichwie święcą** dzienniki warszawskie wiadomością o ucieczce jednego z tutejszych lichwiarzy, ze strachu przed następstwami owego prawa. Żałujemy mocno, że do tego tryumfu przyłączyć się nie możemy, naszem bowiem zdaniem, do wypadku tego nie da się nawet owo przysłowie zastosować: baba z wozu, koniom lżej. Ubył z miasta lichwiarz, ale pozostały jego weksle, których posiadacze dzisiejsi, im taniej je nabyli, tem je niemiłosierniej w danym razie wyegzekwują, a zniknięcie tego dziwnie trwożliwego przyjaciela ludzkości sprawi tylko to, że ci, co pozostali, będą tem ostrożniejsi i tem bardziej będą obdzierali swoje ofiary, już to mszcząc się za swego kolegę i współwyznawcę, już to wetując sobie większe obecnie ze swojej strony ryzyko.

Chcąc lichwę wytępić, trzebaby naprzód ustanowić komisyą, do której zgłaszaćby się mogli wszyscy lichwą uciemiężeni i którąby w ich interesie przeprowadzała układy z lichwiarzami, a wrazie ich uporu, oddawała ich prokuratorowi. Potem dopiero ustawa przeciw lichwie mogłaby w przyszłości rozwinąć swoję działalność z prawdziwym pożytkiem dla społeczeństwa, zapobiegając nowemu lichwy wzrostowi.

* **Sara Bernhardt**, która dotąd, jak wiadomo, pozowała zawsze na *grubą* rybę, ma zamiar obecnie przeistoczyć się w rybę iście morską. Postanowiła zbudować sobie duży parowiec, odpowiednio urządzony, i na nim, wraz z całą trupą własną, objeżdżać wszystkie porty całego świata. Będzie to podróż kosztowna, utrzymanie jachtu i całego personelu majtków i aktorów obliczono dziennie na 5,000 franków, a jednak żydowsko-francuzka aktorka pewna jest że zrobi doskonały geszeft i zarabiać będzie drugie tyle. Miasta portowe są zwykle bogate, a nuż zaproszą gwałtem i do wnętrza kraju?

G. Cz.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

CENY NIZKIE.

Oliwa Nicejska.
Ocet winny.
Essencya Octowa.
Szafran i Wanilla.
Perfumy.
Woda Kolońska.
Mydło krajowe i zagraniczne.
Gąbki i Wyroby gumowe.
Środki opatrunkowe.

W NAJLEPSZYM GATUNKU.

Skład Mat. Aptecznych

Trzciński, Urbanowicz i Różycki,

Krakow.-Przed. 17

wprost

w WARSZAWIE.

Telefon 456. Najodpowiedniejszy do konserw i marynat, a przytem najlepszy i najtańszy jest Telefon 456.

OCET ZBOŻOWY

z Parowej Fabryki,

przy ulicy Polnej, dawniej Przedokopowej Nr 36 (róg Nowowiejskiej).

Telefonu Nr 456.

Fabryka rozlewa u siebie ocet w butelki i szczególnie takowy poleca.

Nabyć można we wszystkich pierwszorzędnych sklepach korzennych i spożywczych.

115 2—3

D-r Med. ADOLF KOZERSKI,

1113—12

odbywszy praktykę szpitalną jako hospitant kliniki profesora Kaposi'ego w Wiedniu, udziela porady lekarskiej w chorobach skórnych i w... Od 1—2 przyjmuje wyłącznie kobiety.

Nr 3. PRÓŻNA Nr 3.

W Warszawie. 106—3—12

FABRYKA KWIATÓW

A. Rastawieckiej,

Bielańska 8,

KIO-CZI

66—6—6

Niezawodny środek na pluskwy

A. Nowakowski.

BIELAŃSKA Nr 3.

Pralnia NATALII

28. Nowy-Świat 28. 7712—12

Po powrocie właścicielki z praktyki w Berlinie, przyjmuje do prania sposobem czystogospodarczym nie niszczącym bielizny.

Zakład Reperacyjny. Zakład Reperacyjny.

Krawiecki Zakład Reperacyjny

oraz

Pracownia Ubiorów Męzkich

Nowy-Świat 57, m. 5.

Przyjmuje obstalunki i reperacye po cenach najniższych. Wybawianie plam i czyszczenie sposobem chemicznym.

96—7—8

Nowy-Świat 57, m. 5.

LUDWIK ORTHWEIN

MAGAZYN TAPICERSKO-DEKORACYJNY

(Plac Teatralny)

12 SENATORSKA 12

(Pałac Blanka.)

108 3—8

PRACOWNIA 109 3—6

SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH

Czesławy Chełmickiej,

Marszałkowska Nr 135, miesz. 11.

Przyjmuje wszelkie obstalunki na sezon bieżący, które wykonywa podług ostatnich żurnali po cenach bardzo umiarkowanych.

S. PRZEZDZIECKI.

Magazyn ubiorów DLA DZIECI, mundury i szynele DLA UCZNIÓW. 1102—12

Kotzebue Nr 2, róg Wierzbowej.

MAGAZYN KONFEKCYI

M. MARCINEK,

11, NIECAŁA 11.

Po powrocie właściciela z zagranicy zaopatrzony został w wybór modeli najnowszych na sezon jesienny i zimowy. CENY UMIARKOWANE.

117 1—6

Pierwszorzędne Kaucyonowane Biuro

NAUCZYCIELSKIE

F. Sikorskiej,

w Warszawie, Niecała Nr 12.

Upoważnione przez Władzę na Cesarstwo i Królestwo, pośredniczy w umieszczeniu nauczycieli, nauczycielek i bon. 102 5—6

ZAKŁAD REPERACYJNY

i fabryka wyrobów 1035—10

TOKARSKO-GALANTERYJNYCH

Feliks Krzemiński

w Warszawie, Nowo-Senatorska Nr 3.

FRANCUZKA SZKOŁA RZEMIOSŁ

SZPITALNA Nr 3

(dawniej Mazowiecka Nr 11)

Wykład kroju systemu Laferiere i Wortha, szycia krawatów, gipiur, kapeluszy, derkowych i włóczkowych robót, haftu białego i artystycznego, malarstwa na porcelanie, jedwabiach, płótnie i glinie. Wydaję patenty, przyjmuję pensyonarki, dla praktycznych zajęć jest przy szkole pracownia sukien i okryć. 92—4—6

CENY NIZKIE.

EDWARD DUSOGE

Nowy-Świat Nr 5.

Poleca się Szanownej Publiczności z następującemi artykułami potrzeb domowych: Łóżka żelazne, Umywalnie, Naczynia kuchenne, Kuchenki naftowe i benzynowe. Maszynki do kawy w 6-u różnych gatunkach. Młynki i Piecyki do kawy. Żelazka stalowe i mosiężne. Wanny, Kubły, oraz Wyroby nożownicze fabryki Gerlacha.

CENY NIZKIE. CENY NIZKIE. CENY NIZKIE. 119 2—6

Fabryka wyrobów chirurgicznych

I INNYCH STALOWYCH OSTRYCH

124 1—6

K. OSMÓLSKIEGO

w Warszawie, **TWARDA Nr 20.**

Opatrzona Listem pochwalnym przez Muzeum Przemysłu i Handlu z roku **1890.**

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres nożownictwa wchodzące, jako-to: Noże, nożyczki i scyzoryki wszelkiego rodzaju. także przyjmuje wszelkie reperacye, oraz szlifowanie brzytew na sposób wiedeński i zwyczajny po cenach możliwie nizkich.

SPECYALNA SZKOŁA

KROJU I SZYCIA

EUFEMII PILNIAKOWSKIEJ,

uczennicy słynnego w Paryżu

Vorth'a.

Krój najlepszy i najłatwiejszy w Europie systemem oryginalnym ***Vorth'a.*** Zapis uczennic codzienny. Patenty uzdolnienia wydają się potwierdzone przez Wyższą Władzę.

112 2—6

PENSYONARKI PRZYJMUJĘ SIĘ

Rs. 10 Gruntowna nauka kroju sukien i wszelkich okryć damskich. Rs. 10

PRZY SZKOLE

PRACOWNIA SUKIEN

gdzie takowe wykonywane są przez najpierwsze specyalistki, podług najświeższych żurnali paryzkich.

Ceny bardzo przystępne.

Nr 54. NOWY-ŚWIAT Nr 54.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe nakładem pedagoga **Plato v. Reussnera:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **Bez nauczyciela** czytać, pisać i rozmawiać **po niemiecku w 3-ch miesiącach**, po angielsku w **24 lekcyach.** Cena Metody niemieckiej kurs niższy kop. 60, w oprawie 75 kop., kurs wyższy rs. 1 kop. 60. Komplet, t. j. oba kursa razem, **tylko 2 rs.** Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. **Najlepszy elementarz polsko-niemiecki** z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop 35, 30, i 10. **Najnowszy elementarz polski** z wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem **340 figur**, tudzież ze wskazówkami pedagogicznemi kop. 25, 20, 15, 10 i kop 4. Powiastki **polsko niemieckie** 20 kop. Powieść **Ali-Baba i 40 zbójców** 15 kop. Powieść **Myśliwi Giemz** 10 kop

Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po kop. 20.

Skład główny u autora, (Pl. v. Reusnera przy ul. Marszałkowskiej Nr. 142, w Warszawie)

Zakład wywabiania Plam i Farbiarnia

LUDWIKA STRASZKIEWICZA,

przy ul. Kruczej Nr 34,

105 4—6 W WARSZAWIE.

KWIATÓW PIĘKNYCH WYUCZAM

w krótkim czasie rs 5 miesięcznie.

Ogrodowa Nr 8, mieszkania 5.

120 1—1

FABRYKA RĘKAWICZEK

pod firmą ***K. WITKOWSKIEGO***

Bielańska 16, dom hr. Zawiszy.

Posiada wielki wybór: rękawiczek męzkich i damskich od 60 kop. do najefektowniejszych, krawatów, parasoli, lasek, szelek, portfeli, portmonetek, kołnieży i mankietów. Wyroby z najcelniejszych materyałów.

Ceny nizkie. 123 1—6

L. MERGENTHALER I SYN

ZAKŁAD

tapicersko-meblowy

6 KRÓLEWSKA 6,

W WARSZAWIE.

1133—10

Wyróżniająca się dobrocią

WODA KOLOŃSKA

ABÉ

jest do nabycia we wszystkich znaczniejszych magazynach perfumeryjnych i galanteryjnych.

Skład Główny, Aleja Jerozolimska Nr 64,

w Warszawie.

104 4—6

Zatwierdzona przez wyższą władzę

DYPLOMOWANA SZKOŁA KROJU

i szycia Sukien, okryć damskich. Wykład kroju praktyczny, podług najświeższych żurnali metodą oryginalną Wortha. Po ukończeniu kursu uczennice otrzymują patenty. Przy szkole jest pracownia sukien, okryć damskich i dziecinnych.

Uczennice przyjmują się też na stałe.

Wspólna Nr 24, m. I.

Natalja Tisserant. 121 1—3

Zakład Tapicersko-dekoracyjny

A. KASZYŃSKIEGO

Ś-to Krzyzka N-r 3.

1221—8

Przyjmuje wszelkie roboty w zakres tapicerstwa wchodzące po cenie umiarkowanej.

MAGAZYN MÓD

I STROJÓW DAMSKICH

„KONSTANCYA“

58. Wielka 58.

Przyjmuje roboty po nader nizkiej cenie i wykończa takowe dokładnie i prędko Przyjmuje pióra do prania i fryzowania.

114 2—8

W zakładzie pożytecznych zajęć i zabaw gimnastycznych dla dzieci, MARSZAŁKOWSKA Nr 119, zapisy przyjmują się codziennie od 10-ej do 6-ej.

1182—10

Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Августа 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna N° 26.

Dodatek.